NUMER 20. DNIA 15. MAJA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Romanse Jokaja.

„Mówią o mnie, że jako powieściopisarz, jestem idealistą. Oskarżenia tego się nie wstydzę, jednakże zgodzić się na nie nie mogę. Maluję wielkie, nadzwyczajne postacie, niezwykłe sytuacje, a jednak nie są to rzeczy i osoby niemożliwe. Żyłem razem z nimi i to, co się zdaje być wybujałą fantazją, jest po największej części wspomnieniem własnych moich doświadczeń. Szedłem razem z największymi bohaterami epoki po ich drodze tryumfalnej, a po przegranej walce uciekałem pod przewodnictwem lotnych betyarów przez bezdrożne bagna i puszcze. Stałem wśród bomb padających wówczas, gdy oblegano Wiedeń, dobywano starożytną Budę i widziałem jak świat cały gruzami swoimi na moją się walił głowę. To było pod Vilagos. Byłem uczestnikiem niebezpiecznych konspiracji ujarzmionego narodu i odznaczeń ze strony ukoronowanego króla. Byłem biedakiem — dzieciom żydowskim udzielałem za dwa guldeny miesięcznie lekcji języka węgierskiego i byłem szczęśliwym dyrektorem olbrzymich przedsiębiorstw. Przeżyłem wszystkie ciosy ludzkiego żywota i całe jego szczęście. Na mojej szyji miałem stryczek szubieniczny i wstęgę orderu. Na moją głowę sypały się złote promienie sławy i *asa foetida* nienawiści. Byłem ukochany i znienawidzony, jak może nikt inny“.

Tak pisał o sobie samym Maurycy Jokai u schyłku swego żywota i pisał prawdę. Toż nikt mu chyba nie może zarzucić, że był starym romantykiem ze szkoły Lamartina i Wiktora Hugo, że bohaterowie jego powieści są w życiu nieprawdopodobni i niemożliwi. Nie przeżył on samego siebie, gdy nie mógł pójść w ślady nowych, realistycznych i natulistycznych kierunków nowej powieści, bo życie jego takim samym było snem i romansem, jak wszystkie jego powieściowe twory. Znajdzież się dziś drugi taki adwokat, któryby, jak Maurycy Jokai, po uzyskaniu dyplomu i po wygraniu pierwszego procesu mógł się wzruszyć przy egzekucji błagalnymi jękami niezamożnej rodziny, pokryć należność z własnej kieszeni i — rozstać się na zawsze z adwokackim zawodem? Albo te jego przejścia rodzinne i małżeńskie — czyż nie zakrawają raczej na romans, niż życiową szarą prawdę? W chwili najpodnioślejszego nastroju patrjotycznego zjawia mu się jakby w obłokach kochanka — żona późniejsza. Poznał ją, słynną artystkę, Różę Laborfalvy, w chwili, gdy głosiła ze sceny ognisty wiersz Petöfiego, w kilka miesięcy poprowadził ją do ołtarza, rok zaś jesze nie minął cały, a już miał jej życie własne do zawdzięczenia, gdy kobiecą chytrością potrafiła nazwisko jego wstawić w listę amnestyjną przy kapitulacji Komorna.

Pełnem dramatycznych rysów było także drugie małżeństwo Jokaia. Siedmdziesięcioletni starzec zakochał się w dwudziestoletniej aktorce, Belli Nagy, i wbrew życzeniom i radom córki i zięcia, pojął ją za żonę. Po przykrych scenach zięć wyjechał z żoną do Florencji, córka zaś Jokaia co roku dojeżdżała do Pesztu, by pomodlić się na grobie matki. Pewnego razu dojrzała tam wieniec, złożony przez macochę. Podarła go w strzępy, a oburzona macocha skłoniła Jokaia, aby zaskarżył córkę przed sąd o zbezczeszczenie grobu. Tak się też stało, a chociaż sprawa nie doszła do skutku, niemniej ponury rzuciła cień na stosunki domowe wielkiego w narodzie swoim starca.

Romanse Maurycego Jokaia wywarły niespożyty wpływ, może nawet aż na charakter współczesnego pokolenia narodu węgierskiego. Dzisiejsza

generacja węgierska zna stosunki z trzeciego lub czwartego dziesiątka lat ubiegłego wieku głównie tylko z powieści Jokaia — patrzy przez jego okulary i widzi epokę tak, jak ją widział pisarz: bez ścisłej, historycznej prawdy. Osobistości i tło czasu są zanadto wyidealizowane, psychologiczne motywa nadzwyczaj słabe, a za nieokiełzanym lotem fantazji czytelnik zaledwie nadążyć może. Wszystkie te zarzuty jednak nic nie obchodzą Węgrów, gdyż Jokai zupełnie słusznie należy do najznakomitszych postaci w ich literaturze. Pomimo wszelkich nieprawdopodobieństw w charakterystyce osób i rozwoju fabuły, nie ma ani jednego dzieła jego, któreby się nie odznaczało wybitnem pięknem. Główna ich siła leży w każdym razie w opisach i stylu, którego giętkość i barwa dosięgły nigdy przedtem u Węgrów niewidzianych wyżyn.

Jokai był romantykiem w całem tego słowa znaczeniu, a skutkiem tego lubiał ostateczności w fabule i sytuacjach, które idealizował, albo wprost karykaturował. Z tego też czyniła mu krytyka nowsza wiele zarzutów, a jej przewódca, Gyulay, napisał raz wprost, że Jokai nie jest zdolnym do napisania porządnego romansu. Zaatakowany w ten sposób pisarz rzecz całą traktował humorystycznie. Gdy mianowicie przy ostatnim spisie ludności miał między innemi odpowiedzieć na pytanie „czy umie pisać“, tak odpowiedział na urzędowym arkuszu konskrypcyjnym: „Mojem zdaniem: tak. — Wprawdzie Gyulay twierdzi przeciwnie, ale potomność nie przyzna mu racji“.

MARJA JARMUND. 5)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Kiedy nam przedstawiają na przykład w utworze literackim potężnego tytana, miotającego dzikie przekleństwa, okrzyki bolu, grożącego niebu i tarzającego się w gwałtownych spazmach po ziemi, o którą tłucze rękami i nogami, w umyśle czytelnika budzi się przekonanie, że to duch jakiś wielki, olbrzymi, kochający i cierpiący za miljony, albo może odkupiciel z sercem krwawiącem i rozdartem wszystkiemi bolami i rozpaczami tego smutnego świata, gotów męką swego ciała dla upośledzonych i prześladowanych szczęście wywalczyć — ale odkrycie, że tak rozpacza najpospolitszy jegomość, przez rozpustnicę porzucony, wywołuje przykre uczucie zawodu i rozczarowania. Co za szkoda tak potężnej wyobraźni, tylu pięknie brzmiących słów i tak wspaniałych obrazów na wyrażenie tak marnych uczuć.

Zamiast „nagiej duszy“, która wedle zapewnień modernistów miała po dojściu do świadomości całej swej potęgi odkryć najtajniejsze zagadki bytu, być oknem otwierającem się na rozległe, zagadkowe obszary „nieznanego“, zaczęto nam najczęściej ukazywać nagie ciało, wcale nie ciekawe do oglądania. Deptanie bowiem po fizjologicznej stronie miłości nie może odsłonić obiecywanych „wizji abstrakcyjnych“ i nie wyczerpuje wszystkich kierunków nowej sztuki. W zagranicznej literaturze, oprócz Huysmana, łączącego kult religijny z najpotworniejszą rozpustą i kilku innych ze szkoły belgijskiej histerycznie podrażnionych sekciarzy, główni twórcy nowej literatury Maeterlinck, a właściwie Villiers de l'Isle Adam — (bo Maeterlinck wyraźnie przyznaje, że jest jego uczniem) na zupełnie przeciwne strony natury ludzkiej kładą główny nacisk, z pewnem lekceważeniem, a może nawet pogardą traktując jej zmysłowe objawy.

Naukowe badania w najnowszych czasach magnetyzmu, hipnotyzmu, somnambulizmu i t. d. stwierdziły bardzo już dokładnie, że natura ludzka składa się z dwóch pierwiastków, zmysłowego, znanego wszystkim i transcendentalnego, którego istota nie daje się jeszcze jasno określić. Oba te pierwiastki „znajdują się — pisze Miriam Z. Przesmycki w swoim znakomitym wstępie do utworów Maeterlincka — w stosunku jakiegoś antagonizmu w czasie, t. j. egzystują stale obok siebie, ale objawiają się nie jednocześnie, mianowicie zdolności transcendentalne występują na jaw, w miarę przytłumienia zmysłowej strony człowieka, owa druga, tajemnicza, ku nieskończoności zwrócona świadomość, tem bardziej na zewnątrz się przebija, im mniej działa świadomość zmysłowa. Myśl o tym antagonizmie zmysłowej strony człowieka i jakiegoś drugiego nieznane-

go czynnika jego istoty, nicią czerwoną przewija się, poczynając od Wed indyjskich, tego najstarszego dokumentu ludzkości, przez wszystkie religijne i filozoficzne systemy; zmieniają się w nich wprawdzie formy zapatrywań i poglądy na istotę tego tajemniczego, ukrytego pierwiastku, ale środek mający wywołać mniejsze lub większe rozbudzenie wewnętrznego człowieka pozostaje zawsze ten sam: mniejsze lub większe przytłumienie zmysłowości i tego, co z punktu widzenia zmysłowości, życiem dusznem nazywamy. Ztąd — z pojęcia o tym antagonizmie i z uwielbienia dla transcendentalnej władzy poznania — teorje ascezy religijnej w Indjach, ztąd słowa do Koryntów św. Pawła: „im bardziej nasz zewnętrzny człowiek obumiera, tem większego życia nabiera wewnętrzny“, ztąd baśń o Empedoklesie, który sam się oślepił; ztąd myt grecki o Tejrezyaszu, który wówczas dopiero wieszczego ducha nabrał, gdy go Junona oślepiła, ztąd u mistyków chrześcijańskich pogarda dla ciała i jego ziemskich popędów, umartwienie, asceza... Współczesne badania ścisłe nad takiemi objawami, jak sen, somnambulizm i t. d. stwierdzają kategorycznie fakt tego antagonizmu — co do czasu trwania objawów — między transcendentalnym pierwiastkiem w człowieku, a zmysłową jego stroną. Wykazują one wszakże zarazem, iż antagonizm ten nie jest bezwzględny, że nie potrzeba zupełnego zaniku zmysłowej świadomości, aby świadomość transcendentalna mogła zacząć się objawiać, lecz, że w miarę zmniejszania się i przygasania pierwszej, powoli, stopniowo poczyna na jaw wychodzić druga. Ztąd wniosek stwierdzający się znowu faktami istnienia osób o wyjątkowych zdolnościach do przeczuć, instynktów, przewidzeń niewytłómaczonych, o świadomościach i popędach jakichś nieodpartych i jakby mimowolnych — że mistyczne wyjawy transcendentalnej strony człowieka mogą mieć miejsce nietylko w chwilach snu, somnambulizmu, hipnotyzmu, gorączek, obłąkań, gdzie często w niezwykłej objawiają się mocy, lecz także choć z mniejszą intensywnością — i na jawie w stanie normalnym u ludzi niektórych, a zwłaszcza u ludzi nie poddających się wyłącznie i nadmiernie zmysłowości i wrażeniom zmysłowym...“

To nam wyjaśnia zupełnie dziwne, niezrozumiałe i jak się zdawało niczem nie usprawiedliwione dręczenia ciała u Indusów, w sposób dochodzący nieraz do szału jak na przykład głodzenie się umyślne, stanie latami na jednej nodze, albo z podniesionemi do góry rękami, leżenie dziesiątkami lat na jednym boku i t. p. A zarazem tłómaczy rozpowszechnione od początku świata, u wszystkich ludów nawet barbarzyńskich, sprzeczne na pozór mniemanie, że Bogu, czy bogom przypodobać się najbardziej można, przytłumieniem i wyrzeczeniem się tych zmysłowych instynktów, które przez Niego samego stworzone i do natury ludzkiej przywiązane, nie powinne Mu być wstrętne. Zdawałoby się przecież, że Stwórca nie może pogardzać własnem dziełem, i że przypuszczenie podobne jest wytworem fantazji ludzkiej, dowodem nielogicznego sposobu myślenia, jednak mniemanie to utrzymuje się wszędzie stale i objawia czcią, jaką ludy otaczają żyjących w celibacie ascetów a zwłaszcza poświęcone Bogu dziewice. Cześć ta dochodzi nawet w militarnym Rzymie do tego stopnia, że Westalkom oddają takie same honory, jakiemi otoczeni są konsulowie, a wystarcza dla skazanego na śmierć spotkanie jednej z nich na drodze, prowadzącej do rusztowania, ażeby otrzymać bezzwłocznie ułaskawienie. Współczesna dopiero nauka daje na to trudne do rozwikłania pytanie wyczerpującą odpowiedź i sprzeczność wyjaśnia. Źródłem takiego pojęcia było instynktowe choć niedające się dokładnie udowodnić poczucie, że tylko zupełne przytłumienie instynktów fizycznych i przygnębienie ciała, czyli materji, pozwala się rozwinąć potężniej czynnikom duchowym, otwiera szerokie wrota do zetknięcia się z otaczającym nas ze stron wszystkich i niedostępnym dla grubych zmysłów pierwiastkiem transcendentalnym, nieznanej jeszcze natury, jaki wypełnia bezbrzeżnie obszar nieskończoności.

W utworach też swoich Villiers de l'Isle Adam a zwłaszcza Maeterlinck najczęściej pomijają miłość zmysłową, albo ją traktują wyraźnie jako przeszkodę do objawienia się w człowieku tego nieznanego pierwiastku, który niewidzialny, tkwi w nim jednak głęboko i tem trudniej mu się na jaw wydobyć im powłoka ziemska jest grubszą i bardziej namiętnościami zmysłowemi znieczulona. Maeterlinck nie tylko miłość lecz i wszelkie inne namiętne uczucia ludzkie zostawia na uboczu, starając się odsłonić te tylko poruszenia duszy, które mają bezpośredni a ukryty przed naszym wzrokiem związek z wewnętrzną stroną natury ludzkiej i w wyjątkowych tylko chwilach obawy, strachu, niepokoju, przeczucia, nieszczęścia, wybuchają chwilowo z niepohamowaną, nie dającą się niczem opanować siłą...

Tu się nasuwa uwaga, że w nowej sztuce dają się dokładnie odróżnić w ten sposób dwa odrębne odłamy. Jeden szuka natchnienia i wzorów do erotycznych szałów, uniesień i obrazów zmysłowej miłości w starożytnych obrzędach i sprośnych kultach Bachusa i Wenery. Drugi, z pogardą dla zmysłów

i ascetyczną niemal surowością, odrzuca ten czynnik z swych utworów i prawdziwie nowe, bezkreśne otwierając sztuce widnokręgi, służy najdzielniej idei postępu. Bo nie dajmy się zbałamucić. — Sztuka nie jest Bogiem, jak w nas to wmówić usiłują, ani bogami nie są uprawiający ją artyści. Bogiem jest tylko ów wielki ideał wszechstronnej doskonałości, w marzeniach i wieszczych przeczuciach odgadywany. Mniejsza o to, czy jest on Bogiem osobowym, jak wierzy ogół, czy tylko pojęciem najwyższego dobra, jak utrzymują niektórzy — to rzeczy nie zmienia. Do niego to ludzkość od tysięcy wieków, czołgając się na kolanach z upragnieniem tęsknem wyciąga ramiona i z wysiłkiem, mozolnie wspinać się usiłuje. Boskiego tego ideału pierwszą i najbardziej uroczą służebnicą jest sztuka. Ona to wraz z nauką wiodą ludzkość za rękę i wskazują jej drogę, którą iść powinna, aby nie zbłądziła. Jedna z twarzą surową, zadumaną idzie naprzód i uchyla tajemniczą zasłonę, okrywającą gościniec, po którym w przyszłość zdążamy, nowe nam ukazując światy, druga, uśmiechnięta wesoło, z jaśniejącem blaskami światła obliczem, na te odkrycia rzuca snopy brylantowych iskier, tęczowemi mieniących się barwami. Bez jednej ludzkość stanęłaby przykuta do miejsca, kroku naprzód nie mogąc postąpić, bez drugiej świat by się stał ponurą, żadnym promykiem radości nie rozjaśnioną otchłanią.

Modna dziś pogarda dla nauki nie ma najmniejszej podstawy, jak niedawno nie miało podstawy lekceważenie poezji. Renan choć sam nie tylko uczony, lecz jeden z największych poetów swego wieku, przypuszczał, że nadejdzie chwila — może jeszcze bardzo odległa — kiedy człowieczeństwo zupełnie dojrzałe odtrąci sztukę, jako niegodną swej powagi zabawkę, którą się w dziecinnych zajmowało latach. Ale tak źle nie będzie. Z pewnością dopóki świat istnieć nie przestanie i ludzie nie dojdą do ostatecznego, nieznanego nam celu, dopóty te boskie służebnice będą dążyć naprzód, wspierając się wzajemnie i wiodąc za sobą coraz wyższe i doskonalsze istoty ludzkie w nieskończoność, ku światłu i słońcu.

Przypuszczenie, że samo zagłębianie się w zjawiska własnej duszy i zamykanie oczów, na „realną rzeczywistość“ może wystarczyć do rozjaśnienia otaczających nas „tajni i zagadek“, jest złudzeniem fantazji jednostronnie wybujałych umysłów. A dowodem tego są właśnie cytowani dziś często prorocy biblijni, magowie i fakirowie indyjscy. Nie wpłynęli oni zupełnie na postęp, na rozszerzenie kultury, żadnych nie zrobili odkryć, zużytkowując tylko do swoich celów bezwiednie pewne zagadkowe siły przyrody, nic im też nie zawdzięczamy, z wyjątkiem utrwalenia obowiązujących dotąd podstaw etyki. To, co wiemy, te tajemnice, któreśmy wydarli przemocą przyrodzie, ten stopień cywilizacji, na jakim stanęliśmy, dała nam jedynie nauka i na przyszłość od niej zależyć będzie dalszy kierunek naszego rozwoju. Dokąd ona ludzkość zawiedzie, trudno odgadnąć. To tylko obecnie dostrzedz już łatwo, że będzie dążyła stale do oswobodzenia ducha od przewagi ciała.

(C. d. n.)

STANISŁAW BARĄCZ.

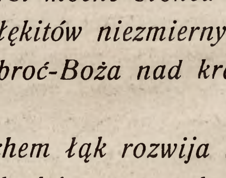
Harmonje poranku.

Pannie Eugenji Zaleskiej.

Światłem po szczytach idzie Dobroć-Boża,
Błogosławieństwo rozsiewa w przestworza. —
Jak słodko szemrzą srebrne pszczoły zdroju!
Jak krzepi piersi mocne słońca wino!
W ciemnych błękitów niezmiernym spokoju
Przepływa Dobroć-Boża nad krainą —

Złotym uśmiechem łąk rozwija kwiaty,
Grzebieniem blasków czesze płowe zboża;
Szczęściem wszechbytu wita Dobroć-Boża
W mojego serca niezmierzone światy.

O, jakie cuda jawią się w mej duszy!
Barw niewidzianych grają mi promienie —
Dźwięk niesłychany napawa me uszy —
W mem sercu błyska zachwytu wzruszenie!
Do dna mej duszy rozpromienia morza
Świętym uśmiechem wielka Dobroć-Boża. —



Zagadka numizmatyczna.

W ostatnim numerze „*Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych*" znajdujemy równocześnie dwie skrajnie przeciwne hypotezy w kwestji, która się tyczy pierwotnych dziejów numizmatyki polskiej. Chodzi o t. z. „denary Adelhaidowe" z imieniem Bolesława na jednej, a Adelajdy, albo Ottona na drugiej stronie. Denary te przypisywane przez numizmatyków Bolesławowi Chrobremu, należą do niesłychanych rzadkości. Wszystkiego znamy bowiem dziś jedenaście egzemplarzy tych denarów, pochodzących z wykopalisk wyłącznie w Wielkopolsce, głównie między Gnieznem a Trzemesznem. W r. 1900 znaleziono jeden taki denar w Poznaniu. Siedm z tych znanych egzemplarzy posiada gabinet numizmatyczny w Berlinie, inne rozproszone są po zbiorach prywatnych.

Otóż na podstawie dziewięciu znanych sobie i zbadanych egzemplarzy, przyszedł dr. *W. Zakrzewski* w artykule „Wiadomości numizmatycznych" do przekonania, że przedewszystkiem monety te bite są nieprawidłowo. Jak wiadomo prawidłowo bite monety są wtenczas, jeżeli użyto specjalnych w tym celu tłoków, t. z., jeżeli dla danej monety zrobiono umyślnie tłoki dla wybicia jej jednej i drugiej strony. Zdarza się bowiem czasami, z różnych przyczyn, że jedna strona monety bita jest jednym tłokiem, druga zaś tłokiem, który był poprzednio używany do bicia innej monety i wtedy moneta jest wybita nieprawidłowo.

Fakt, że „denary Adelhaidowe" po jednej stronie posiadają napis „Boleslaus", z drugiej zaś strony nieuzasadniony ani współczesnymi stosunkami państwa polskiego, ani osobistymi Bolesława Chrobrego, napis „Oton" lub „Adelaida", nasuwa drowi Zakrzewskiemu domysł, że przy biciu tych denarów złożono tłoki dwu różnych monet, z których jeden był cudzoziemskiego pochodzenia, czeskiego lub niemieckiego. Rezultatem badań szczegółowej analizy tych monet, są następujące wnioski: 1. Wybijano u nas, w nieznanej miejscowości pod koniec X. lub XI. wieku monety z imieniem Bolesława na jednej a Adelajdy lub Ottona na drugiej stronie; 2. wszystkie te monety bite były nieprawidłowo; 3. że dowolnie, czy przypadkowo zestawione tłoki były sporządzone albo na miejscu przez medalierów polskich, czeskich lub niemieckich, z zachowaniem odrębności narodowych, albo pochodziły częściowo z mennic zagranicznych.

Na pytanie, czy są to monety czeskie, czy też polskie, odpowiada dr. Zakrzewski, że jakkolwiek większość stempli na nich jest czeskiego pochodzenia, bite one były w Polsce, na co wskazuje fakt, że nigdzie indziej ich nie znajdowano, jak tylko w Wielkopolsce. Również oświadcza się dr. Zakrzewski przeciwko zapatrywaniu, jakoby Bolesław Chrobry bił tę monetę, bo kto miał odwagę koronować się królem polskim nie byłby używał pożyczanego stempla. Być może, że to brat Bolesława, Władywoj, który z ramienia Bolesława II. czeskiego siedział na Śląsku, był autorem i właścicielem tej monety.

W przeciwieństwie do powyższych wywodów, twierdzi p. *M. Gumowski* w tymże samym numerze „Wiadomości numizmatycznych", że nie zachodzi w tym wypadku ani pomieszanie stempli, ani też czeskie pochodzenie „denarów Adelhaidowych", ale są one prostem tylko naśladownictwem denarów saskich, które wówczas w powszechnem były użyciu, a wybijano je w Magdeburgu. Dla utrzymania przeto stosunków handlowych z Niemcami, zależało Bolesławowi Chrobremu na jedności środka zamiennego, a stąd pochodzi, że monety własne zaopatrywał godłem, powszechnie wówczas w użyciu będącem.

Który z obu numizmatyków ma rację, trudno dziś orzec, wobec małej ilości zachowanej monety i braku źródeł. Że jednak teorja p. Gumowskiego jest prosta i jaśniej się tłumacząca, to nie ulega wątpliwości.

JAN ŚWIERK. 20)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Zakryły manekina prześcieradłem, aby upięta na nim jedwabna jasno-żółta suknia nie pyliła się. Inne roboty złożyły w stos i poszły.

Adaś z Jańciem w kuchni przy Marysi siedzą, a tu cisza i głucha pustka...

Nikogo tylko ja i ta biedna spracowana robotnica, którą choroba obaliła na łóżko...

Czas wlecze się powoli.

Nadsłuchuję, czy lekarz nie nadchodzi, nachylam się nad ciocią badając jej oddech, a czasem

trwożna myśl mię prześladuje: — może ona już oddychać przestała?

Zdaje mi się gdzieś z zakątków pokoju wysnuwają się widma ciemne, idą jakieś duchy chciwe żeru i wyciągają paszcze ogromne... Wszystko otacza łóżko cioci, wszystko czeka na nią...

— Kto wy jesteście? czego chcecie od ofiary biednej? pytam się z gniewem, chcę je odgonić, wypchnąć, podeptać. Lecz one z śmiechem szepcą:

— Ona moja!... śmierć jestem, czekałam długo na nią, nie uchronisz jej przed memi kleszczami...

— Ona moja... sepleni widmo inne... nędza jestem, długo około niej wirowałam i kręciłam się, teraz chwytam...

— Ona moja... jakby z gwizdem przeraźliwym mówi potwór inny... przepracowanie jestem... brałem dzień po dniu cząstkę jej życia, piłem noc po nocy siły jej coraz słabsze, aż teraz przychodzę po resztę...

— Ona moja... powoli i zimnym głosem przemawia widmo, rozpościerające czarne łapy pająka przed sobą, krzywda jestem, pchali mię ku niej źli ludzie ciągle i bezustannie... kazali brać pracę, nie myśląc, czy spoczynek znajdzie się, kazali służyć, nie licząc, czyli zapłata wystarczy za ten trud, uwiesili się na jej ramionach zmęczonych, jak pasorzyty, — gięli ją ku ziemi — cisnęli... a teraz oto przychodzimy ją brać...

— Idź, krzywdo, nędzo, przepracowanie, ona ma dzieci — żyć musi... choć życie to męką i cierpieniem... — zaczęłam wołać, żywo zrywając się z krzesła... a wszystkie mary śmiały się i dzwoniły głosami szyderstwa.

Przetarłam oczy.

To lekarz dzwoni, Marysia go wprowadza, ja zdrzemnęłam się w oczekiwaniu.

Rozpoczęło się badanie lekarza, owo zawsze tak uroczyste mierzenie gorączki, opukiwanie piersi, liczenie pulsu...

Po długiej chwili lekarz powiada:

— Znalazłem ślady uderzeń, stan groźny, bo trafił na organizm wyczerpany i bardzo osłabiony. Za parę dni rozstrzygnie się sprawa, czyli przechyli się choroba ku lepszemu, ale gdyby nawet tak było, trzeba będzie potem długiej i systematycznej kuracji, odżywiania się silnego i świeżego powietrza.

Wręczając mu dwie korony, drżałam z obawy, czy nie rozgniewa się.

— Na drugi raz nie przyjmę mniej, niż cztery korony, mruknął niechętnie.

— Marysiu! moja Marysiu, musisz iść do apteki, ale prędko.

— Niechże panienka da pieniądze.

— Prawda! pieniądze... ale skądże ja ich wezmę? Niema pana Stanisława w domu? Niechno Marysia obaczy.

Wraca za chwilę mówiąc, iż Stacha niema.

— Nie wie Marysia, gdzie jest pan? Możebyś tam poszła i powiedziała, że na aptekę potrzeba, że pani bardzo chora.

Marysia patrzy na mnie, jak na warjatkę.

— Co to? panna nie wie, co się dzieje?

— Co się dzieje? czego chcesz?

— Pan przecie nigdy nie da centa, tylko zawsze bierze, jeszczebym też miała kogo szukać. Wiedzieć, to wiem, gdzie pan jest, zawsze w karty gra w kawiarni, ale tam nie pójdę po pieniądze.

— Może w aptece zaczekają na zapłatę, poproś grzecznie, powiedz, że jutro przyniesiesz...

Na szczęście dano bez pieniędzy lekarstwo.

Dzieciom kazałam cichutko iść spać, zjadły po dwa ziemniaki na noc i po pół szklaneczki herbaty napiły się...

Nadeszła noc, długa, straszna noc czuwania przy chorej.

W sąsiedniej kamienicy były tany do białego dnia. Przez mury ściany słychać było głuche tony muzyki i monotonne huczenie basa... Czasem nawet głos aranżera doleciał do moich uszów... wołający żywo: dziś! dziś!...

Zdawało mi się chwilami, że i ja, jak owe mary, które przed tem widziałam cisnące się do pokoju cioci, wsuwam się do tamtej sali pełnej tańczących i śmiejących się. Zdawało mi się, że idę tam przez środek pokoju, między wirujące pary i niby echem ponurem powtarzam: — dziś! dziś!... dziś nędza i krzywda, przepracowanie i śmierć chodziły obok was blisko, a wy nic o nich nie wiecie! wy ich nie znacie!

A jakiś młody piękny mężczyzna, wpatrzywszy się we mnie odrzekł na to:

— Czy myślisz, iż tylko wy pracujecie?... I my dźwigamy trud życia i my niesiemy brzemię mozołu, ale krzywdzić się nie damy, bośmy zdobyli prawa, lata służby liczą się nam, czas mamy odmierzony na godziny pracy i oto możemy być weseli...

O tak! dla pracy kobiet potrzeba opieki, zreformowania, oświaty społecznej, aby uratować niewolnice te biedne od krzywd i niesprawiedliwości licznych...

Coraz lepiej poznaję warunki biednych szwaczek i krawczyń, coraz lepiej widzę, iż osoby, które

potrzebują pracy tych kobiet, nic a nic nie chcą dla nich uczynić szlachetnego i litościwego, bo nie uznają ludzi w jednostkach, schylonych kornie...

Gdy kiedyś będę nauczycielką, gdy kiedyś zdobędę stanowisko ważniejsze, odważę się zabrać głos w tej sprawie, a teraz nic innego nie mogę zrobić, niż wpłynąć na Stacha i prosić, aby artykułami stosownymi poruszał ciągle serca ludzi zamożnych i wzywał do opieki.

Mam nadzieję, iż dla mnie on to zrobi.

Szkoda, iż bawi się gdzieś w mieście i nie przyjdzie popatrzeć, jaka to noc smętna i ponura...

Przyszedł ranek.

Roje całe zerwały się z brzaskiem świtu i poczęły wołać: — Śniadanie!... na węgle!... koronek trzeba! Radczyni po suknię przysłała!... Podszewki niema!...

Ludzie! miejcie litość!... Ona chora, bezprzytomna, nie będzie biegała na wszystkie wasze rozkazy, kasa pusta, ja nie wiem co robić!

Przeproście panią Radczynię, powiedzcie, taki nieszczęśliwy wypadek, choroba, niech przecie wyrozumie...

— Niech Marysia poprosi tych z drugiego podwórka, aby nie trzepali dziś wszystkich dywanów i firanek, całą noc muzyka ich chorą budziła, teraz trzepanie spocząć nie da...

— Niechże panna Karolcia wykańcza suknię wedle wzoru, trzeba radzić sobie jakoś, choć pani niema...

Na obiad trzeba — niema innej rady, tylko niech Stach pożyczy.

Puka Marysia raz, drugi i trzeci...

Stach jest zmęczony strasznie, hulał do 3-ciej, potem koledzy zaprowadzili go do kawiarni, nie mógł się oprzeć. Stach ma tylko 3 zł., ale z tego potrzebuje dziś jeszcze na rewanż na kolację.

Gdy przyszedł po 9-tej, aby dowiedzieć się, jak się ma ciocia, mówię mu o położeniu smutnem...

— Centa niema w domu, lekarz nie chce przyjść za tak małe wynagrodzenie, dzieci nie mają nic na śniadanie.

— Fatalne!... wybąknął, jakby zawstydzony, czy zagniewany...

— Lecz niech kuzyn wyobrazi sobie co lekarz wczoraj powiedział?... Znalazł ślady silnych uderzeń...

— Jakto?... upadła?

— Wszakże przedwczoraj szyła razem ze mną do 2-giej w nocy, zdrowa była. Rano zastałam ją bezprzytomną...

Stach począł chodzić szybko po pokoju, tam i napowrót, potem wszedł do sypialni, pochylił się nad łóżkiem cioci, westchnął, a wychodząc szepnął raz, czy dwa razy: łotr! łotr!

Czyżby on przypuszczał to samo, co ja? Ale nie, to niepodobne.. nie! nie można nawet myśleć o podobnem barbarzyństwie... Jaki wuj jest, ale wszakże nie morderca...

Od tylu wrażeń ponurych, od tych trosk, które opadły mię, jak rój szerszeni, zdaje mi się i ja chyba będę chora.

Dość byłam dotychczas zmęczona, przepracowana, ale teraz korona wszystkiego...

Około 11-tej przysłał poczciwy Stach 20 zł. z karteczką, iż to na wydatki niezbędne.

Posłałam po lekarza.

Ciocia dwa razy budziła się od rana, raz szepnęła: wody, drugi raz poczęła z cicha płakać...

Podczas oczekiwania na przybycie lekarza, nowa scena odegrała się w „Salonie mód“.

Przyszła pani ***, aby zmierzyć suknię na jutrzejszy bal.

— Ciocia ciężko zachorowała, mówię do niej prawie z płaczem... nie mogłyśmy zdążyć z robotą.

— Jakto? woła na to dama otyła i niezgrabna... moja suknia nie go-to-wa?...

Przy wymawianiu ostatniego wyrazu tchu już brakło biednej kobiecie, nie wiedziała, jak wymówić tak straszne słowo: — nie go-to-wa...

— Ciocia nagle zachorowała, lekarz już był dwa razy, wszyscy jesteśmy tak zgnębieni!

— Cóż mię to interesuje?... Czyż niema tu panien w magazynie? Jak można robić zawód podobny? Ja wnoszę skargę, ja będę żądała odszkodowania... Jeżeli nie miała być suknia gotową, to trzeba było dać wcześnie znać...

— Któż wiedział, iż takie nieszczęście stanie się?

— A! to okropne! to straszne!... to można spazmów dostać, coś niesłychanego, chyba tylko ja jedna już mam pech taki i chyba tylko mnie się coś takiego wydarzyć może...

Tęga dama rzuca się na kanapę, poczyna oddechać coraz prędzej, mówić co raz głośniej, aż wreszcie wybucha jakimś płaczem wrzaskliwym, rzuca się, rozpina na sobie odzienie...

Czy ona dostała obłędu umysłowego, czy ona rozchoruje się tu rzeczywiście, już nic nie wiem. Podobnych scen nie widziałam nigdy, nie wiem co

za choroba, biegnę po szklankę wody, gdy wołają, iż pan doktor przyszedł...

— Panie doktorze!... proszę go — dama jakaś zachorowała w salonie, nie wiem co robić...

— Pewnie suknia nie gotowa, burknął lekarz i poszedł do cioci.

Wysłałam pannę Manię do damy zrozpaczonej, a sama przy cioci stoję...

— Przesilenie było, powiada doktor, ale stan jeszcze bardzo groźny, opieki, odżywiania i wypoczynku jeszcze raz, jeszcze, raz i jeszcze raz powtarzam.

— Recepta — zdaje się nie zostanie użyta.

— Dlaczego?

— Ciocia musi pracować nie tylko na siebie, ale i na innych.

— W takim razie nie ma o czem mówić. Jeszcze jutro przyjdę.

Odprowadzam go, a w salonie słyszę jeszcze spazmy otyłej damy.

— Ma też czego płakać? pomyślałam w duchu... Za jedną nocą utraconej zabawy, tyle łez wylać i tyle żalu ukazać?... A my — po tylu dniach i nocach spędzonych wśród ciągłej pracy i mozołu czemuż nie płaczemy, iż nie znamy już nie wesela, ale bodaj spoczynku?...

O!... strojny świecie... gdybyś ty miał serce lepsze — nie byłoby tyle nieszczęśliwych po za kulisami twoich salonów i sal balowych...

Więcej niż godzinę męczyła nas nieszczęśliwa balów ozdoba, zanim zdołałyśmy ją za drzwi wyprowadzić. Lecz gdy ona schodziła głównemi schodami, wejściem od oficyny szła służąca od p. Radczyni z listem, piorunami nabitym, aby suknię gotową dać natychmiast, bo jutro bal...

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

PIOTR CHMIELOWSKI. — *„Stylistyka polska wraz z nauką kompozycji pisarskiej“*. Książka ta — pisze Wł. Bukowiński w rozprawce p. t. „Ostatnie dzieła Chmielowskiego“, umieszczonej w najświeższym nr. „Prawdy“ — uzupełnia znakomicie wartościową „Teorję poezji polskiej“ A. G. Bema, a i sama przez się, jako wynik długoletniego doświadczenia badacza, który, jak trafnie zaznacza Ign. Chrzanowski, przestudjował i ocenił najwybitniejsze utwory literatury staropolskiej oraz niemal całą naszą produkcję literacką od połowy XVIII. wieku aż do chwili bieżącej, stanowi nabytek cenny i pożądany.

Talent pisarski jest darem wrodzonym, którego najlepsza teorja nie da i nie zastąpi. Zgłębianie dzieł stylistycznych nikogo jeszcze samo przez się nie zrobiło dobrym stylistą; nauka kompozycji nie zastąpi zdolności twórczych. Stwierdził to zresztą przykładem własnym sam Chmielowski, który, choć znał wybornie wszystkie arkana sztuki pisarskiej, do stylistów świetnych nie należał nigdy. Niemniej jednak, wobec powszechnej u nas niedbałości o zewnętrzną stronę wysłowienia, wobec potwornych błędów językowych, przepełniających nietylko łamy dzienników, lecz nawet książki, należące rzekomo do tak zwanej literatury pięknej, dzieło Chmielowskiego, przeznaczone zarówno dla literatów i pedagogów, jak i dla wykształconego ogółu, może okazać się nader pożytecznem i niejednego zachęci do pewnej pracy nad sobą i większej baczności na zewnętrzną szatę swych myśli. Było ono tem potrzebniejsze, że od czasów Kudasiewicza i Rymarkiewicza, a więc od lat przeszło trzydziestu pięciu, nie mieliśmy w tym zakresie ani jednej pracy poważniejszej, ani jednej pracy wogóle, jeśli nie brać w rachubę kilku podręczników szkolnych, które się ukazały w latach ostatnich.

Pracę swoją podzielił autor na trzy części, poświęcając pierwszą z nich ogólnym przymiotom wysłowienia (poprawność, czystość, właściwość, zwięzłość, jasność, postaci krasomówcze, przenośnie, wdzięk, siła, dowcip, ironja, żywość i t. d.), oraz rodzajom stylu; drugą — pierwiastkom utworów pisarskich wraz z licznymi przykładami opowiadania, opisu, charakterystyki, rozumowania, porównania i in., trzecią wreszcie — rodzajom prozy i poszczególnym jej kształtom. W części drugiej zasługują zwłaszcza na uwagę ustępy, poświęcone rozważaniu zasobu duchowego pisarza i sposobów jego zwiększenia. Część trzecia zastanawia się kolejno nad utworami prozy opisowo-opowiadającej od klechdy i legendy do noweli i powieści; nad dziełami, otwarzającemi przeszłość (roczniki, pamiętniki, biografje i t. p. aż do krytycznej historji narodu) i spółczesność (opisy podróży, geografja, historja naturalna i t. p.). Ostatnie rozdziały wreszcie zawierają rozbiór poszczególnych kształtów prozy nauczającej i zniewalającej, czyli oratorskiej, podzielonej jeszcze na przemowy do osób nieobecnych (listy, odezwy, memorjały, prośby, fejletony i t. p.) i przemowy do osób obecnych, jako to: powinszowania, mowy przygodne, wymowę naradną, sądową i kaznodziejską.

Nie brakuje, słowem, w tem dziele ani jednego rodzaju prozy, a wyczerpujący ten wykład, urozmaicony mnóstwem ciekawych przykładów, wzbogacają cenne uwagi autora, oparte na jego doświadczeniu obfitem i gruntownej wiedzy. Tak n. p. w rozdziale o powieści otrzymujemy zarazem krytyczny zarys jej rozwoju u nas; proza nauczająca daje autorowi sposobność do wartościowych wskazówek, dotyczących podziału nauk; ustępy, poświęcone prozie historycznej, uzupełnione zostały szeregiem uwag, mogących znakomicie ułatwić początkującym historykom badania nad przeszłością. Cała książka to cenna puścizna ostatnia po pisarzu, który, wzbogaciwszy pracę badawczą nad literaturą ojczystą tylu pierwszorzędnemi dziełami, do ostatniej chwili nie przestawał karmić umiłowanego ogółu zdrowemi i pożywnemi ziarnami, stanowiącemi plon najpiękniejszy jego zasłużonego żywota.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.